

Uwertura: Hipnoza

Set & setting – pojęcie obejmujące nastawienie psychiczne, okoliczności i otoczenie podczas doświadczenia psychodelicznego. Set w tym przypadku oznacza stan psychiczny, nastrój, myśli i oczekiwania, setting to zestaw bodźców dostarczanych przez otoczenie – pochodzących zarówno od ludzi jak i miejsca. Termin ten po raz pierwszy został użyty przez Timothy Leary'ego.

(Wikipedia.pl)

Po ulicach rozwieszono były plakaty reklamujące widowisko, które przedstawiał zamaskowany artysta podpisujący się pseudonimem Ćpun Mroku. Nikt nie znał ani jego, ani nikt nie kojarzył jakiegokolwiek jego twórczości, a sam plakat niewiele wyjaśniał. Nie można było określić, czy to plakat filmu, koncertu, teatru, wystawy czy czegokolwiek podobnego. Jednak nazwa „Horror Show” fascynowała sprawiając, że ludzie kupowali tanie bilety z ciekawości, chcąc zobaczyć coś interesującego, co ten miał do zaprezentowania. Będący incognito, debiutujący autor.

Zdeformowana striptizerka w masce gazowej, ubrana w skórzany, obcisły czarny strój, pod którym nie miała niczego, spoglądała na trzy rodzaje plakatu, zastanawiając się, jaki sens ma reklamowanie poszczególnych aktów, a nie całości.

Striptizerka, nieprzepadająca za sztuką, ani w ogóle się na niej nie znając, kupiła bilet zaraz po wypatrzeniu wielkiej reklamy ponad dwa tygodnie temu. Nie wiedziała, czemu to zrobiła. Pamiętała uczucie dreszczu i niepokoju narastającego w niej do teraz. Po dwóch dniach miała oddać bilet sugerując sobie samej, że postąpiła pochopnie. Niepokój był tylko chwilowy i na pewno było to tylko pierwsze wrażenie. Nie umiała się pozbyć tego rodzaju fascynacji zwłaszcza, kiedy plakaty prześladowały ją w drodze do domu. Czaiły się na nią, lecz nie ukrywały. Były jak ekshibicjonista próbujący zakryć to, co zamierza odkryć. Niepokój powrócił podczas pracy, wstrząsając jej lepkiem ciałem i podobnie duszą. Klient zażartował pytając, kto komu służy i czy to przypadkiem jemu nie powinna płacić.

Cały tydzień szukała wymówki, by nie iść na owe widowisko. Gdy nastał upragniony dzień, niemal o nim zapomniała i jedynie czystym przypadkiem, którego nie potrafiła sobie wytłumaczyć, znalazła się pod starym, prawie stuletnim kinem, przerobionym na teatr, w którym odbywały się także koncerty i wykłady. Od pochmurnego rana nie miała nic do roboty. Zupełnie, jakby problemy i obowiązki odpuściły ją z niewiadomego przypadku w ten właśnie dzień. 23 marca. Premiera „Horror Show”. Plakaty wisiały wystarczająco długo, by przez cały czas, dzielący ludzi od spektaklu, udało się artyście zapełnić całą widownię. Była jeszcze godzina do „widowiska”, czy czym „to” miało być, a sala już była wypełniona publicznością, cierpliwie wyczekujących i gotowych.

Przed teatrem stała młoda, nad wyraz gruba dziewczyna stylizująca się w punkowej modzie, zjadająca hamburgera ze wszystkimi dodatkami. Na plecach miała napis „Punk’s not dead”.

Nie chciała się pchać na swoje zarezerwowane miejsce w sali, ani cisnąć się i nudzić, ani tym bardziej przeprowadzać konwersacje z kimkolwiek. Chociaż myślała, że może czegoś się dowie o artyście. Ostatecznie porzuciła tę myśl, bo, po co dowiadywać się, kim jest autor, skoro to, czym chce się podzielić, może najlepszą częścią siebie, zawiera on w swojej sztuce.

Ulica była statyczna, jak na czarno-białej fotografii. Była brudna i odpychająca. To właśnie ją do niej przyciągało. Było w tym coś niematerialnego. Nieokreślony klimat malował pejzaże wokół. Po wejściu okazała bilet i zawahała się. Mroczny tunel w podziemiach był tak samo brudny jak ulica. Teatr idealnie odzwierciedlał ulicę. Teatr był częścią ulicy. Ulica, z której przyszła, niebawem miała stać się fikcją.

Krzesło numer 2332. Niecały kwadrans pozostał do rozpoczęcia się spektaklu o 23ej. Zbyt późno by to, co miała zobaczyć miało być skierowane dla kochający racjonalną jasność. Obserwowała ludzi wokół, przebierańców i degeneratów. Nic do nikogo nie pasowało. Publikacja wydawała się być obdarta z uczuć. Czyżby byli tu oni z tego samego, co ona, powodu? Bez powodu?

Na dziesięć minut przed podniesieniem ciężkiej, krwistoczerwonej kurtyny, rozlegały się zewsząd dźwięki, nie do końca określone i płynące nie wiadomo skąd, bowiem nie dostrzegła żadnych głośników.

Z ciszy wypływały radiowe szумы, na które nałożone były zakłócenia starej płyty winylowej. Na nie nakładały się kolejno dźwięki syren karetek i płaczu dziecka. Dźwięki towarzyszące przy odprawianiu stosunku seksualnego rozlegały się rozszczerzone pomiędzy dysharmonią cyrków i kakofonii lunaparków. Dźwięki „Willkommen” wydawały się dobiegać z jej podświadomości. Zamknęła oczy. Czarno-białe obrazy burdeli, wojen, obozów, obrazów rzeczywistości, zbyt przerażające by patrzeć, zbyt olśniewające by otworzyć oczy. Setki obrazów morderstw, przemocy, gwałtów, eksperymentów medycznych i dewiacji nie robiły ani na niej, ani na nikim już wrażenia. Tysiące scen, które widziała, na co dzień, niekoniecznie w TV. Miliony zdjęć, od których chciała się uwolnić, przychodząc tutaj. Chciała, by było to jak strzykawka z heroiną na zdjęciu powielonym dziewięć razy, każda w innym kolorze, zanikająca wraz z jej opróżnieniem.

Otworzyła oczy. Białe światła przygaszały wraz z dźwiękową tyradą syren przeciwlotniczych. Gdy zgasło światło, oświetlając niemrawo jedynie czerwoną kurtynę. Wszystkie dźwięki, zostały przerwane przez ogłuszające zatrzaśnięcie drzwi, które rozbrzmiewało jeszcze przez pół sekundy, zanim wygasło. Wraz z tym dźwiękiem, wszystkie inne skapitulowały jednocześnie, jak podczas masowego samobójstwa dla zabawy. Drzwi zamknęły wszystkie rozmowy i myśli własne. Wszyscy w skupieniu patrzyli na scenę, na której pojawił się niezbyt wysoki mężczyzna ubrany w czerwono-czarny sweter.

Przedstawienie niewątpliwie się zaczęło. Ćpun Mroku stanął na środku sceny. W tle stroiła się orkiestra. Po sekundzie zamilkła. By skupić uwagę wszystkich, wyciągnął z kieszeni małe wahadełko w kształcie oka, którym możliwe, że widział wszystko. Nie miał on na swej twarzy ani jednego dla niej charakterystycznego elementu. Czerwień i czerń, którą pokryta była jego twarz nie wydawała się być maską, ale faktyczną jego twarzą. Wahadełko roztaczało w powietrzu niewidzialne psychodeliczne wiry, zamieniające się w twarz Ćpuna Mroku, który nic nie mówiąc, skupiał na sobie uwagę obecnych, wprowadzając w początkowy stan hipnozy. Już w tym stanie, nie tracąc czasu, artysta wydawał się być inaczej postrzegany przez widownię. Jakby zmienił wymiar, ukazując się na nowo poprzez teatr makabry, magii i mistycyzmu, który przedstawiał a jednocześnie nie.

Kolejny raz, pod inną formą, jego dzieło „Horror Show”, będące poprzednio abstrakcyjną formą pozbawioną treści i słów, tylko muzyką i obrazem, stała się jego powtórzeniem, remakiem a jednocześnie adaptacją, za pomocą nowej formy przekazu dzieła artystycznego. Artysta pragnął przedstawić to nie za pomocą ogólnych form sztuki, lecz za pomocą telepatii. Dzieło było tak intensywne, wieloznaczne i wielopłaszczyznowe, że nawet przedstawienie go używając jednocześnie wszystkich rodzajów sztuki, nie dałoby tego efektu. Nie byłoby to zresztą możliwe, gdyż widz, nie wiedziałby, na czym ma się skupić, a każdą jedną formę musiałby poznawać kolejno, osobno, a tego artysta nie chciał. Chciałby wszystko działać się jednocześnie, i wszystko się wzajemnie uzupełniało. Jak w życiu.

Była to premiera najdoskonalszej formy sztuki. Ostatecznie skończone, najdoskonalsze i najbardziej dopracowane dzieło jego życia, które udało mu się po latach wydobyć z siebie dosłownie i w pełni spełniając oraz prezentując swoje arcydzieło w sposób dosłowny, i jak najbardziej wierne pierwotnemu zamysłowi, której jego wyobraźnia osiągnąć miała szczyt. Niesamowicie realna iluzja, sen, której śniąca publiczność w zbiorowej podświadomości doświadcza, łączy ich umysły bezpośrednio z umysłem artysty.

Swoje dzieło, które dojrzało w nim przez całą dekadę, mógł ukazać wszystkim tak, jak miał w zamyśle. Skrajne rodzaje sztuki nie zwracają na siebie uwagi, odwracając ją od innych dzieł, lecz uzupełniają inne współgrając jak doskonale nastrojona orkiestra bądź koegzystują one ze sobą w harmonii, niczym nieskrępowani kochankowie oddający się wzajemnie w objęcia ekstazy. Wszystkie rodzaje sztuki, tworzyły jedność, tak jak zmysły tworzą całokształt doznać człowieka.

Publika wydawała się być martwa. Sam Ćpun Mroku, z artysty natomiast zmienił się narzędzie odbierane przez zahipnotyzowanych ludzi. Hipnoza była kluczowym elementem nie do

podrobienia przez nikogo. Nie chciał by jego wspaniała forma najwyższej sztuki stała się skomercjalizowanym produktem, którego będzie mógł używać każdy. Nie było mowy o żadnych błędach i wypadkach. Nikt także nie mógł się przebudzić, aż „widowisko” nie osiągnie punktu kulminacyjnego.

Niczym wielki iluzjonista, trzymał w dłoni jedynie tekst, który zamierzał wyrecytować. Słowa były jak zaklęcia. Wyobrażał sobie całość, mając w głowie pełną, dopracowaną fabułę, wraz z uwzględnionymi natężeniami uczuć, klimatem, zapachami i smakiem każdego poszczególnego elementu historii, którą pragnie przedstawić za pomocą zdobytych nadprzyrodzonych zdolności, ukazując historię, bezpośrednio w umyśle widzów. Jak projekcja filmu, w zbiorowej wizji po psychodelicznym narkotyku szamanów, zostanie przekazana cała historii. Autor nie narkotyzował się mrokiem. To mrok narkotyzował się artystą.

Z jego ust padły pierwsze słowa hipnotyzujące w głębsze sfery publiczność: - Nastąpiła Uwertura wprowadzając Was w pierwszą scenę, pierwszego aktu. Jestem Ćpunem Mroku i od teraz będę waszym narratorem”. – Cała wizja i rzeczywistość, zaczęła się konstruować tak, jakby oglądając pracę w przyspieszonym tempie rysownika, pokrywającego tuszem i kolorem obraz, nadając mu formę idealnie odwzorowanego zdjęcia, zaczynającego się poruszać i żyć jak uliczny teatr odzwierciedlający dosłowność życia. Bezpośrednio tekst stając się treścią, uwolnił obraz, który oplótł umysły każdego, siedzącego przed nim. Nastąpiła chwila, by dać upust ciekawości i chaosu.

Ćpun Mroku mówił do swojej publiki, nie ustami, lecz bezpośrednio do ich głów. Głos miał ich odstresować i ostatecznie zahamować instynktowną chęć wyrwania się z hipnozy. Artysta zaczął deklamować tekst, z początku a cappella, który przeradzał się w poetycką pełną muzyki anty–piosenkę, dzięki której zostawali wprowadzeni w trans:

„Nawiązuję z wami kontakt, po raz pierwszy bezpośrednio, wylewając z siebie wypadkową cyfr i liter. Obrazami schwytanymi pokonuję czas. – Żyłem w was przez stulecia. Wasze życia, są dla mnie jak otwarta książka. Żywiłem się waszymi słabościami, strachem i zwierzęcością. Teraz stoję tu przed wami nagi, robiąc to, czego nie możecie wy. – Nastrajam was hipnozą by historia, którą chcę wam przedstawić, rozegrała bezpośrednio się w waszej wyobraźni, jakbyście naprawdę przy tym byli, poczuli zmysłami ową pieśń, muzykę oraz obraz końca świata. Teraz skoro tu jesteście, zamierzam wam pokazać obłęd i mrok tak gęsty, że przyciągnąć może tylko skrzywionych psychicznie bogów. – Przed wami ludzki cyrk wszechogarniający natchnienie. Fundamenty na kościach pierwotnych gatunków. Arcybiskupi ciemnej materii, astralne ucieczki, sprzedawcy martwych uczuć, kolosalne degradacje, maszyneria z ludzkich szczątków oraz nicość wypijana, wstrzykiwana, wypalana, za młodu ukryta w waszych snach. Patrzcie w moją twarz. Jestem, bowiem mimem. Jestem artystycznym zwyrodnialcem, który zahipnotyzował was. Jestem każdym z was. Ty jesteś mną, a ja jestem tobą. Nazywają mnie Ćpun Mroku. Czy moja twarz już wiruje i wciąga was? Spokojnie, to tylko teatr jednego aktora. Tylko mnie. Rozbudzam w was myślenie i wspomnienia z dziecięcych lat. Otwieram trzecie oko u każdego z was. Podążajcie za mną jeszcze głębiej. Stańcie przed wejściem ciemności a ja wasz mózg i ciało natchnę otchłanią.

Zamknięte są wrota racjonalności i realizmu. Wszystko pokryła czerwień i czerń. – Uwertury nadszedł kres. Przedstawiam państwu scenę...”

Akt I. Horror Show

Scena 1. Martwa strefa

Wzbudzając strach maniakalnym wprowadzaniem psychicznego terroru w ludziach, mających zdefragmentalizowane i rozcząsteczkowane retrospektorialnie umysły. Otacza ich aura nudy i umysłowego zniewolenia z powodu jakiegokolwiek braku pomysłu, co można zrobić z czasem oraz jak go wykorzystać. Bawię się strukturalnym chaosem egzystencjonalnego piękna, myśląc o stosunku bliższym niż kontakt cielesny. Czyżby to już było? Nieświadomy plagiat, czy może przypadkowy remake?

Myślę strategicznie będąc w stanach emocjonalnego szoku nagłym odcięciem najpotrzebniejszego odczynnika żądzy życia. Endorfiny. To wszystko bzdury. Mam w dupie, że ludzie widzą mnie w stanach przejściowej kopii mnie samego w samym psychopatycznym zapędzie. Gdy ludzie mówią „nie patrz na mnie jakbyś chciał mnie zabić” albo „nie patrz na mnie w ten sposób” – jak? – pytam – „jak na gówno”. Pomimo, że myślami doprawionymi muzycznymi ekstraktami pociętych kolaży nowoczesności i afotycznych kształtów wulgarnego piękna hałasu i rozszczepienia umysłu, gdzie zachodzi podział na wielowymiarowe role wcielenia się, jak aktor, w różne postacie. W umyśle, jak film, tworzę cała historię. Mam gdzieś, że ludzie przechodzą, myślą – naćpał się i teraz pisze książkę, pojebaniec, – ale ja, słyszę ich myśli.

Tkwię w bezlitosnym stanie analizowania rzeczywistości, nie uwzględniając i nie kierując się żadnymi uczuciami. Zakręciły się gdzieś między marazmem, sarkazmem a podłością człowieka do ostatecznej bariery zatracenia samego siebie. Nie stanie się on, bowiem zwierzęciem, lecz człowiekiem, który piętnuje swoje wszelkie wady.

Wróciłem do punktu wyjścia w swoim życiu, od którego się to zaczęło. Przeklętą cyfrą pięciu lat. Tyle trwała tułaczka rozdartego strzępu człowieka, ćwiczącego swoje poczucie wstydu. Był czas, kiedy patrzyło się z dziesiątego piętra w dół i widziało inną rzeczywistość. Teraz nie. Myślenie o tym jest obce. Jak zwykle jestem przygotowany na każdą ewentualność.

Rozpacz rozplywa się po istnieniu nie widocznego dla osób postronnych. Nie okazuję tego. Ból jest zbyt intensywny. Rozdarłoby mnie. Nie okazuję niczego. Olewam. Staram się nie dopuścić do umysłu żadnej racjonalnej myśli w tematach trawiących mnie. Nie chcę w ogóle myśleć. Chcę się zająć czymś konstruktywnym, aspirującym i nadrzeczywistym. Zająć myśli. Same przecucia i zmiany nadchodzą. Wszystko legło w gruzach, upadło jak starożytne obozy koncentracyjne, dzisiaj zapomniane, ale co kilka stuleci odradzające się w innej postaci. Nie mogę zaakceptować faktów. Są jak złe sny, które zbyt mocno osiadają na powiekach i mają wpływ na cały dzień. Jest to zbyt wielki szok, chociaż byłem na to wszystko przygotowany. Nie mogę oswoić myśli.

Zawsze wolę zakładać najczarniejszy scenariusz, bo można się nastawić na jakąś opcję i najwyżej nie być zdziwiony i nie mieć nadziei na rzecz racjonalnej tezy. Gdy podąży to w przeciwnym kierunku, wtedy nastaje miłe rozczarowanie, ale niestety nie tym razem.

Sztywne osadzone reguły zaczynają kierować moje spontaniczne życie. Podłość rodzi nienawiść, a ona by nie została zmieniona w psychopatyczną żądzę zabijania, musi być przetransportowana gdzie indziej. Nic nie daje takiego zagubienia, gdy nie można wypowiedzieć uczuć pozytywnych lub w tym przypadku negatywnych w znaczeniu ilości.

Jakiś czas temu, gdy na moich zasypiających powiekach pojawiło się nieustannie to samo pytanie zrodzone z zagubienia i niepewności, miałem intensywny sen. Byłem w mieście na niby znajomym osiedlu. Tak jakby to było przepełnione uczuciem deja vu. Czułem podobną chwilę, widziałem obce osiedle, drogę, a przede mną wykopaną potężną dziurę, która blokuje mi wejście w miejsce, w którym chciałem się znaleźć. Wycofując się, musiałem znaleźć inną drogę, lecz ona była długa i czasochłonna. Jak w źle pociętym filmie obrazy zmieniały się w stroboskopowym montażu.

Dużo później. Szpital. Nie wiem jak. Budynek był duży, stary i zbudowany z czerwonej cegły. Chodziłem po nim, ale nigdzie nie było wyjścia i nikt nie chciał mnie ani wypuścić ani wskazać wyjścia. Uciekłem idiotycznym sposobem, przez okno, robiąc sznur z prześcieradeł.

Dawniej było moim marzeniem to, by się na parę dni znaleźć w szpitalu psychiatrycznym, lecz teraz wyczuwam myślowy dyskomfort i paranoiczną niemal fobię. Obce miejsce. Pogoda

pochmurna. Była pora, której wielu nie lubi, zazwyczaj. Depresyjny klimat otoczenia niby przed apokalipsą. Osiedle było puste a osoba, płeć nie istotna lub nieokreślona. Podejrzewam, że był to mężczyzna, którego kiedyś znałem. Jednak w odniesieniu do rzeczywistości, była to kobieta. Osoba ta traktowała mnie jakby była poirytowana i niemal odczuć można, że nie chcę, mimo zaproszenia, ze mną rozmawiać i jestem nie mile widziany.

Znów było zamknięcie w izolatce, z której widać było tylko nocne niebo i księżyc. Nie można było stamtąd uciec. Coś krążyło po mieście bezkształtnego. Gdy się było, chociaż wyglądało przez otwarte okno, macki będące lateksowymi sznurkami napiętymi i twardymi jak kije, płątały i krępowwały istotnie, chcąc zrobić niepojętą krzywdę nie fizyczną, lecz psychiczną. Trzeba było czekać aż do rana, gdy odejdzie. Taka była cena, za życie na darmo.

Teraz na granicy snu, przemawia przeze mnie fikcyjny bohater, którego kreuję w mojej wyobraźni. Swoistość naturalnej chemii drażnąca umysł, został przyhamowany. Próbuje umierać, ale nie daje mi coś spokoju. Wprowadziłem terror psychiczny pisząc dwa proste słowa, które nabrały znaczenia i doprowadzają do czegoś. Złego lub dobrego, nieistotne. Dwa słowa, rozdzielne, dopełniające się, do jednej tylko osoby. Przez pół roku. Takie przynajmniej jest założenie. Do ukończenia wszelkich zgromadzonych znaczeń, symboli, znaków, skojarzeń, splotów wydarzeń, powtarzaniem, zataczaniem koła, podobieństwa, które zanikają wraz ze znaczeniowymi słowami, w których nie chcę poznawać, co będzie dalej, bo cel, jaki sobie wyznaczyłem jest może i głupi, gówniarski z postawą ostatniego tchórze, przed którym jednak czuje się respekt, bo odważył się urwać film widząc i znajdując się już w innej sali. Cel ten jednak jest przemyślany, ale odważę się na to w totalnej ostateczności, gdy skończę te wszystkie herezje i spróbuję raz jeszcze z czymkolwiek, ale jedna rzecz jest najistotniejsza. Powrót do uzależnienia od endorfiny. Muszę podjąć wszelkie próby ku jej odzyskaniu i nabyciu za wszelką cenę.

Przeżycie i doznawanie niektórych doświadczeń nie da się inaczej opisać jak w pierwszej osobie. Można przedstawić własne wnioski i myśli. Gdy nastaje chwila nieświadomego myślenia, braku zrozumienia na akceptację tego pojmowania, człowiek czuje się jakby jego życie było opisywane w trzeciej osobie.

Nie mogłem wytłumaczyć sobie fenomenu *deja vu*, którego jestem nieustannie świadkiem, czy bądź, co rusz mi się przytrafia. Efekty *deja vu* pojawiają się nagle, jak flashback trwający kilka sekund. Nie tyle zalicza się to do obrazu, ale w umyśle pojawia się myśl będąca jakby wspomnieniem, ale jak się otrząsnę i zacznę wspominać ową fałszywą reminiscencję, to nie przypomina mi się takie zdarzenie, myśl lub obraz przedstawiające to miejsce.

Czasami doświadczam w rzeczywistości zdarzeń, które wiem, że przyśniły mi się, jako pojedyncza sekwencja snu bez związku. Czasami widzę to samo zdarzenie, obraz lub słowo wypowiedziane, ale nie jestem wtedy pewny, czy było to faktem realnym. Gdy *deja vu* ze snu nadchodzi, zastanawiam się czy też przypadkiem nie śnie. Zdarza mi się, bowiem na jawie, w chwilach totalnej utraty kontroli nad nią, doznawać uczucia mrowienia i słyszenia dzwoniącego budzika.

Fałszywych wspomnień doświadczam podczas snów, których w ostatnim czasie nie pamiętam. Lecz ilekroć mam w nich owo uczucie, otrząsam się i budzę spocony. Nie są to jednak momenty, gdy czuję, że zdarzenie miało miejsce na jawie, ani też, że przyśniło mi się kiedyś, choć taka opcja czasami jest dopuszczalna. Epizody te niepokoją mnie najbardziej. Nie treścią, lecz nieuchwytnością incydentów, których nie potrafię rozszyfrować ani w świecie jawy, ani we śnie. Obrazy kotłują się w moim mózgu nawet parę dni, czasami bez związku przypominają mi się, co parę lat, gdzie nie wiem wówczas, czy było to skrzywione poczucie prawdziwego wspomnienia, źle zapamiętanego, czy też jest to odłamek snu. Czasami tylko wydają mi się, że potrafię znaleźć odnośnik, ale nawet, gdy już go mam, trąci on swoją metaforycznością, zmiennością z biegiem lat, gdzie po czasie niczego już nie jestem pewny.

Po kilku dniach, czasami latach, najbardziej przerażającymi chwilami są te, które rozgrywają się na jawie. Wtedy wiem i widzę obraz ze snu w swej identycznej sferze, która się rozwija. Czasami są to chwile zupełnie nieistotne, takie, które mają dać mi tylko poczucie wrażenia, że coś wiem, że coś przeczuwam, zupełnie jakbym stał się jasnowiedzem. Po takiej nieistotnej chwili,

zazwyczaj dzieje się coś, co odmienia mnie samego, jak i moje życie.

Nie wiem czy faktycznie powinienem przejmować się tym wszystkim i próbować na siłę wyciągać jakieś wnioski z urojonych znaków, doszukując się głębszej symboliki. To wszystko nie daje mi spokoju z niewiadomych powodów. Chociaż gdy porównuję różnego rodzaju horoskopy, znajduję podobieństwa, które sprowadzam do swojego życia i są one niezwykle celne. Również zgadza się samo znaczenie mojego imienia, Samael oraz znaku zodiaku.

Staram się nie zwracać na to uwagi, olewać to, ale to wszystko dzieje się przypadkiem, jakby jakaś siła, choć daję sobie odciąć przyrodzenie, że na pewno nie jest nią bóg, przynajmniej nie w ogólnym, komercyjnym znaczeniu tego słowa. Wrażenia te znajdują własne ścieżki by we mnie trafić i stanąć mi przed oczami. Słowa kogoś przypadkowego, jakaś rzecz na chodniku, napis na ścianie w szalecie miejskim. Narracja z telewizora, wiadomości z radia, czyjaś opinia wyrażona nie na mój temat w przypadku zasłyszanej rozmowie, lub dająca mi odpowiedź na pytanie, które dręczy mnie od kilku dni.

Im bardziej próbowałem o tym nie myśleć, tym więcej przypadków się pojawiało. Doświadczałem tego nie tyle nieustannie, co w ostatnich dniach coraz częściej. Kumulacją tego, choć nie wiem, w jaki sposób mam to rozważać; w przeciągu kwadransa, doświadczyłem ośmiu takich zdarzeń, jedno po drugim. Jedno wpływające z drugiego lub nachodzące się na siebie, syntezujących i wywracających moje poczucie mentalnej równowagi.

Nie mogłem tego znieść. Myślałem czy nie udać się do specjalisty, ale dziwnym trafem przypomniał mi się sen o szpitalu z czerwonej cegły. Mogą mnie zamknąć. Nie boję się tego. Nawet do czasowego ubezwłasnowolnienia, jak i opinii ludzi, które niezupełnie biorę sobie do serca, poza istotnymi rzeczami, które pomagają mi pracować nad sobą i udoskonalać siebie, swoją osobowość, kształtując wyobraźnię i szlifując inteligencję. Obawiam się zatracenia wszystkiego. Dawniej miałem poczucie siły swojej psychiki, lecz teraz nie wiem czy jest naprawdę taka silna. Może z wiekiem i z doświadczeniem staję się silniejszy. Poprzez mój cynizm jednak, buduję wokół swojej osoby coraz silniejszy mur, którego nikt nie będzie w stanie przebić. Na razie czyni mnie to najgorszego typu, przeintelektualizowanego skurwysyna doświadczającego psychotyczno-delirycznych destruktywnych halucynacji na jawie i na trzeźwo.

Zaczynało mi się zdawać, że istnieje jakaś logika i chaotyczny porządek między wszystkimi zdarzeniami, które nie dawały mi spokoju. Zacząłem je wszystkie opisywać, prowadząc dziennik, który po tygodniu czytałem i analizowałem doszukując się jakiś związków pomiędzy poszczególnymi myślami. Nie mogłem się powstrzymać od zadawania sobie pytań z gatunku, „co by było gdyby...”

Czułem niesamowite przyciąganie. Zacząłem czytać filozofię, książki o psychologii, chorobach umysłowych, nawet książki o buddyzmie i obozach koncentracyjnych. Szukałem jak zwykle racjonalnego rozwiązania. Porównywałem deja vu, sny a nawet jawę sprawdzając odniesienia w senniku. Wszystko poplątane i niejasne, potem było tylko jeszcze więcej pytań. Jakoś próbowałem dotrzeć do tego miejsca między słowami, których nie mogłem rozszyfrować.

Potrzebowałem pomocy lub, chociaż z kimś porozmawiać innym niż samym sobą. Bałem się jednak, że wezmą mnie za czuba i zaczną na mnie krzywo patrzeć, ostatecznie biorąc mnie na dystans. Z drugiej strony, co miałem do stracenia? Czułem się bezradny jak kawałek metalu przyciągany oszalamiająco ogromnym magnesem nieokreślonego bytu zmieniającego płaszczyznowość formy tak intensywnie splatającej się z bohaterem, niczym czarna dziura potykająca go i przedstawiająca w umyśle formę abstrakcyjną jak muzyka. Coś, co jest, istnieje, ale tylko wtedy, gdy ma się słuch. Brakowało mi jakiegoś zmysłu pomagającego odebrać to wszystko.

Studiowałem przez dwa miesiące swoje życie, uwzględniając najbardziej nieistotne rzeczy jak wrażenie, że kubek, którego szukam, a nie ma go na swoim miejscu, przemieścił się gdzieś, a ja wiem, w jaki sposób to się stało, znajdując odpowiedź we śnie.

Wziąłem na dystans siebie samego. Zdziwiło mnie to jak mało sobie wiedziałem. Traktowałem siebie jak dzieło sztuki, które chciałem poznać i zrozumieć. Mam dwadzieścia siedem lat i jest to najbardziej przerażający wiek, w jakim się znalazłem, pod względem symboliki, była to kulminacja. Inne liczby, 13, 16, 18, 21, 23 i 25 nie miały tego czegoś, poza liczbą 23, które było

największym rozłamem mojego życia, po którym nieodwracalnie zmieniłem się tak bardzo, że nikt, nawet rodzina nie potrafiła mnie zrozumieć. Dla wszystkich stałem się obcy. To samo działo się teraz. Czuję strach. Zupełnie jakbym bał się tego, że któregoś dnia wstanę i będę świadkiem spalenia się słońca i utworzenia czarnej dziury, otchłanią swą pożerającą mnie swoją bezosobową potęgą miazdzącą cały porządek i racjonalizm budowany przez ostatnie lata. Rekonstruuując swoje istnienie po rozłamie liczby 23. We wszystkim doszukiwałem się tylko sensu, mając poczucie tego, że wszystko da się racjonalnie wytłumaczyć. Nie dopuszczając myśli, że może być coś przeciwnego, a jeśli nawet, to mimo tego znajdzie się jakieś proste wytłumaczenie. Chociaż i tak nie można być pewnym odpowiedzi, bo mózg człowieka jest zawodny a możliwości interpretacji i rozważań mogą być przeróżne. Gdy odpowiedzi są już podane, umysł i tak je zacznie wypierać albo nie będzie w stanie zrozumieć, co i dlaczego tak jest.

Myślałem nad tym, co się działo wokół mojego wieku dwadzieścia trzy. Złamała mnie dziewczyna, która była ze mną a ja będąc ze zbyt wieloma wcześniej, podjąłem ryzyko i mimo zaufania, oszalałem na punkcje Sara. Prawdopodobnie przez niesamowite podobieństwo w każdym aspekcie do mojej osoby. W każdej dziedzinie była ideałem, o którym nigdy nawet nie marzyłem. Była tą osobą, na którą czeka się całe życie. Gdy mnie zostawiła, próbowałem dalej egzystować, próbując być człowiekiem, chociaż wątpiłem w samo określenie tego słowa jak i w to czy mogę się określać tym mianem. Odnalazłem własne ja i cel życia. Chciałem być odpowiedzialnym i myślącym zwierzęciem, mającą swoje zdanie. Wszystko to brało się z samoistnej chęci rozwoju i samodoskonalenia otwartego umysłu analizującego i tolerancyjnego, bym mógł powiedzieć w pewnym momencie, z pełną rozważą i świadomością, że „nic, co ludzkie, nie jest mi obce”, znając samego siebie. Chociaż tak naprawdę jestem materialistą, lecz przekłada się to jedynie na chęć posiadania artystycznych dzieł innych.

Identyczny gust, odczucia były w nas podobne. Przeżywaliśmy nawet pokrewne wyobrażenia czy też myśleliśmy o tym samym, czuliśmy. Podejrzewałem, że jak się poznamy bliżej, jak spędzimy ze sobą dłuższy czas, będąc niemal ze sobą na okrągło, nie będziemy musieli się porozumiewać za pomocą słów. Byliśmy jak uzupełniające się wzajemnie baterie, które swoją mocą pozwolą na powstanie czegoś albo, dzięki czemu owo coś będzie funkcjonować. Nie chodziło o dziecko, co pewnie przychodzi w pierwszej kolejności na myśl, lecz coś bardziej złożonego, mającego miejsce w sferze mistycznej enklawy umysłowego piękna. Czułem z nią niewypowiedzianą bliskość aż do ostateczności. Chciałem się z nią związać poprzez ślubowanie, lecz tylko po to by odsunąć od siebie innych, by wiedzieli, że jesteście nierozdzielni. Mieliśmy podobne kompleksy. Współgraliśmy. Jedyne uprzedzenia, jakie mieliśmy, były skierowane do nas samych, a nie do przeciwnej osoby. Nieporozumienia, wynikały z bezradności przeciwstawienia się problematyczności z wyniku odległości, jej matki, braku pieniędzy. Byliśmy różni, a jednak tacy sami.

Jednak, jedyne, co zostało to poczucie okłamania i największe rozczarowanie mojego życia. Szok był potężny. Zabijałem myśli. Fundamenty mojego życia zostały zniszczone. Teraz jestem bardziej niż pewny, że nie znajdę nikogo. I nie znalazłem. Minęły wszakże cztery lata. Teraz ona ma tyle lat ile ja, gdy odeszła ode mnie. Jedyne, co mi pozostało, to czekać. Nie chciałem być z nikim. Żyłem ze świadomością, że mogę się nigdy nie doczekać. Gdy odeszła, nie utrzymywałem z nią żadnego kontaktu. Zbyt mnie to rozdzierało. Odizolowałem się od ludzi. Przestałem bać się samotności. Znienawidziłem ludzi. Wołałem myśleć, że umarła. Było na odwrót. Umarłem ja.

Były tylko proste założenia: Arcydzieło rozgrywające się w głowie czytelnika lub widza, widziane oczyma duszy i odbierane mimo trudności, intensywności i metaforyczności, przez wszystkich tak samo, może napisać tylko artysta, który pisze uzewnętrzniając siebie opisując sprawy dotyczące wszystkich. Wszystko jest zamknięte w formie przenoszenia za pomocą jakiegokolwiek narzędzia rzeczywistości a nawet przeciwności jej określenia, sprowadzane są jednak tylko do istoty ludzkiej. Nie można tego przeskoczyć. Człowiek myśli, rozumuje, interpretuje, ocenia i wyraża opinie. Nie ma sztuki, która mogłaby nie przedstawiać jakiegokolwiek strony życia człowieka, czy życia ogólnie na świecie. Jedyne natura, najwspanialsze dzieło sztuki, jest arcydziełem pozbawionym bohatera głównego, człowieka. Nawet tworzenie czy próba

zrozumienia mechanizmu działania innego świata czy nawet samego kosmosu jest nie do pojęcia i przeanalizowania, przez inną formę. Nie możemy, jako ludzie, wniknąć i przejąć rozumowania innych istot, a szkoda. Posunęłoby to wszystko do przodu.

Podjąłem radykalne środki sięjące spustoszenie deformujące moją osobowość. Zapragnąłem czegoś więcej. Wytworzyłem martwą strefę w swej wyobraźni, tworząc ją w pokoju imaginacji, w którym stała się realnym miejscem. Izolatką, w której wszystko, co zmyślane, stawało się rzeczywistością. W ten sam sposób, jak z nierealności do świata materii, przekształcone są sny i wizje, do stanu namacalnego, w postaci skończonego produktu artystycznego, zwanego dziełem sztuki. W niej uprawiany w rytualny trans, mogłem wytworzyć stan odmiennego postrzegania, stający się namacalną rzeczywistością, jaka uchwycona w za pomocą symbolów, liter, nut, liczb czy czegokolwiek innego, mogła zostać przeniesiona do tego świata.